№ 50. Warszawa, dnia 28 Listopada (10 Grudnia) 1887 roku.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

OD REDAKCYI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w przyszłym roku wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami, przypominamy zatem Szanownym Prenumeratorom, że czas już jest ponowić prenumeratę. Oprócz artykułów bieżących poważnej treści, w przyszłym roku drukować będziemy powieści: Zacharyasiewicza, Półkozica, Klemensa Junoszy i innych. Korespondentką z Paryża o ubiorach pozostaje zawsze pani Seweryna Duchińska, chlubnie znana w naszej literaturze.

Cena prenumeraty wynosi: W Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. Na prowincyi z przesyłką pocztową: kwartalnie rs. 2 kop. 50; półrocznie rs. 5; rocznie rs. 10.

PRZYJACIEL DZIECI

Pismo illustrowane dla młodzieży i małej dziatwy,

wychodzić będzie i w roku przyszłym pod temi samemi co dotąd warunkami.

Cena prenumeraty wynosi: W Warszawie Kwartalnie rs. **1**. Na prowincyi z przesyłką pocztową: Kwartalnie rs. **1** kop. **25**. Półrocznie rs. **2** kop. **50**. Rocznie rs. **5**.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Chmielna Nr. 26 nowy.

POGADANKA

o wypadkach jakie mogą sprowadzić zagładę globu ziemskiego.

STREŚCIŁA

Ludwika Życka,

(według Kosmogonii Richarda i Końca świata Majewskiego)

(Dokończenie.)

IX.

Wszystko na świecie się zużywa i przetwarza, otóż woda i powietrze mogą także zużyć się ostatecznie i zniknąć z ziemi, coby wywołało jej śmierć pewną. Woda tworzy znaczną część składową wszystkich nawet mineralnych związków, głazów i różnych ciał ziemskich, ubywa więc jej ciągle.

Atmosfera również wchodząc w chemiczne związki uszczupla się ciągle i w wielkiej ilości czasu, kiedyś drogą tego naturalnego spokojnego procesu może powietrze całkiem zniknąć dla nas, a my bez wody i powietrza egzystować nie będziemy mogli.

Ucieczka tych dwóch niezbędnych elementów, może się odbyć i drogą nagłego przewrotu. Przypuśćmy, że ziemia przyśpieszyłaby swój ruch wirowy, rezultatem tego byłoby spotęgowanie niepospolite siły odśrodkowej, którąby przeważyła siłę przyciągania.

Zaczęłyby się odrywać od niej pierścienie planetarne i księżycowe i błądziłyby w przestrzeni, póki nie spotkałyby jakiego wielkiego ciała, coby je przyciągnęło.

Stałoby się to wtedy, jeżeliby jeden obrót ziemi wirowy, trwał nie 24 godziny jak obecnie, ale 1 godzinę i 24 minuty.

Ciężar wszystkich przedmiotów na równiku będzie się zmniejszał wtedy stopniowo, a gdyby trwanie obrotu ziemi skróciło się do 84 minut, wtedy waga wszystkich przedmiotów na równiku zniknie.

Będzie można bez trudu podnosić najcięższe skały i kamienie i zawieszać je w powietrzu bez podpory. Człowiek, będzie się mógł odrywać od ziemi zupełnie łatwo i pływać w powietrzu jak ryba w wodzie, poruszając rękami i nogami. To tylko mieć będzie miejsce pod równikiem.

Przy biegunach stosunki pozostaną takie jak i teraz bez względu na szybkość obrotu ziemi. Jeżeliby ten ostatni skrócił się do 83 minut, to wtedy wszystkie znane nam ciała na równiku, podnosiłyby się same przez się w powietrze i wirowałyby wraz z ziemią, tworząc nad równikiem pas czyli pierścień, złożony z najrozmaitszych przedmiotów: głazów, zrujnowanych chat i t. p. Wszystkie wody spływałyby na równik, podnosiłyby się w wielki wał, i oderwałyby się od ziemi, przyłączając się do olbrzymiego pierścienia, złożonego w górnej części, z całej masy powietrza odepchniętego siłą odśrodkową od powierzchni naszego globu. Działalność wulkanów spotęgowałaby się i prawdopodobnie jakaś część skorupy ziemskiej, wysadzona w przestrzeń, wirowałaby w niej w postaci gradu, aerolitów i meteorytów.

Takie to zmiany i zniszczenia stworzyćby mógł przyśpieszony obrót naszej kuli.

Inne jej pochylenie na płaszczyznie jej drogi, wywołałoby także bardzo znaczne zmiany klimatyczne, przetwarzając klimaty biegunowe na równikowe.

X.

Na zakończenie tej pogadanki szanowni czytelnicy, macie mały obrazek, coby się stało z ziemią gdyby zamarzła, to jest gdyby ciepło wewnątrz jej globu będące, zmniejszając się powoli, zinkło zupełnie. Wraz z ciepłem, uleciałoby z niej i życie. Dziś znajdujemy koło biegunów dowody, że było tam niegdyś życie równikowe, które mróz zgasił. Wykopujemy w pieczarach syberyjskich pokrytych lodem, szkielety zwierząt i pnie drzew, które tylko w sferach gorących istnieć mogły. Glob ziemski więc zaczął już obumierać i przyjdzie czas, że nawet sfery równikowe będą przedstawiały obraz lodem pokrytej pustyni.

Na zakończenie przypomnijmy sobie ile to niebezpieczeństw grożących ziemi rozebraliśmy w tej pogadance:

1) Zgaśnięcie słońca. 2) Pojawienie się dwóch słońc. 3) Upadek ziemi na słońce. 4) Upadek księżyca na ziemię. 5) Spotkanie się ziemi z kometą. 6) Zbombardowanie jej przez aerolity. 7) Rozpęknięcie kuli ziemskiej. 8) Zniknięcie powietrza i ucieczka wody z jej powierzchni. 9) Zamarznięcie ziemi.

Według dzisiejszej nauki, takie są hypotezy o końcu świata, ale prawdopodobnie miliardy lat przejdą nim to nastąpi.

KONIEC.

NOC ZADUSZEK.

Przełożyła z angielskiego

M. St.

(Dalszy ciąg.)

II.

Wiosna była w całej pełni. Jagnięta beczały nieśmiało, skacząc żwawo po zielonej łące, ptastwo świergotało nad głową. Fijołki skromnie wychylały główki z pośród młodej trawy, drzewa kwitnęły lub pokrywały się młodym liściem. Wiosenny wietrzyk powiewał, a zdawało się, że każde jego tchnienie różowiło blade dotąd lice żony Jana Cosby.

Mizia trochę jeszcze mizernie wyglądała, ale było jej z tem bardzo do twarzy, piękniejszą była niż kiedykolwiek. Co niedziela, wracając z kościoła, Jan prowadził pod rękę swą piękną żoneczkę, a sąsiedzi widząc to, uśmiechali się przychylnie i wychwalić się nie mogli jak dobrym i kochającym mężem był Cosby.

Słysząc ich uwagi, Jan ani drgnął, ale Mizia się zarumieniła, wiedząc że ramię na którem lekko się wspierała nigdy już nie otoczy ją serdecznym uściskiem.

Myślała zwykle wtedy: Gdyby oni tylko wiedzieli! Ale nikt nie wiedział co zaszło między nimi.

Młoda kobieta była zadumną aby powiedzieć o tem matce. Jedna może stara Ewa domyślała się prawdy, ale że pragnęła aby jej nikt nie zamącił spokoju, sama nie lubiła wtrącać się w sprawy innych i nigdy nie dała poznać, że widzi coś, lub wie o czem.

Nie, nikt oprócz dwojga młodych małżonków nie wiedział, że zacznie się znów owo milczące, smutne pożycie domowe pomiędzy żoną i mężem. Z tą różnicą, że gdy dawniej unikano się wzajemnie, teraz unikanie było tylko ze strony męża.

Nieraz po południu Mizia godzinę lub dwie spędziła samotnie w poblizkim lesie, a upajając się wonią leśnych ziół i kwiatów, mówiła do siebie.

— Jednak to wielkie szczęście żyć i słuchać miłego śpiewu ptasząt, patrzeć na chmurki lekko sunące po niebie i na te śliczne stokrotki rosnące u naszych stóp. Choroba moja była straszną próbą. Teraz gdy wróciłam do życia prawie od bram śmierci, żałuję tych co umierają młodo nie zużywszy sił, któremi Bóg ich obdarzył! Mój mąż naprzykład. Boję się o niego, gdyż to ja powinnam była umrzeć, a że nie umarłam, to pewnie on umrze. Prawda, że Jan Cosby jest surowy i gwałtowny, ale przedewszystkiem kocha mnie i ocalił mi życie. Może być, że gdyby swojem staraniem nie wydarł mnie z objęć śmierci, jabym umarła, ale to jemu ocaliłoby życie. Ale jakże powiem mu o tem!

Nieraz wieczorem, gdy gwiazdy cudnie świeciły na pogodnem tle nieba, gdy uroczysta cisza panowała w powietrzu, a świat wydawał się jedną wielką świątynią, Mizia rady sobie dać nie mogła, tak pragnęła powiedzieć mężowi, że niewiele już spędzi tu na ziemi podobnych wieczorów. Wciąż miała mu powiedzieć: — O Janie, jakże mi cię żal, to okropne! — Lecz słowa te zamierały jej na ustach.

Wdzięczność i litość walczyły w sercu młodej kobiety. Uczuć swych nie wyrażała słowami, ale w obejściu z mężem była uprzejma i łagodna, oczy jej przybrały wyraz tkliwego smutku, zaczęła staraniem kochającej kobiety otaczać męża.

Pewnego słotnego wieczora, gdy Jan po kolacyi zabierał się do wyjścia, Mizia rzekła nieśmiało:

— Janie, pozostań dziś w domu, możesz się zaziębić idąc do oberży pod Ciekawą Gęsią.

— Do oberży pod Ciekawą Gęsią! A pocóż jabym miał tam chodzić?

— Ja myślałam, że tam chodzisz co wieczór.

— Nigdy — odrzekł młody człowiek żywo. — Siedzę wieczorem w moim pokoju obok stajni.

Mizia głęboko odetchnęła, wiadomość ta mocno ale przyjemnie ją zdziwiła. Objęła męża słodkiem spojrzeniem swoich pięknych oczów i rzekła tonem prośby:

— Tam musi być zimno. Czy tutaj przy kominku nie mógłbyś wypalić twej fajki?

Jan ostro spojrzał na żonę i rzekł nizkim gniewnym głosem:

— Przeszkadzałbym ci tutaj.

— Ależ nie — szepnęła Mizia i sama nie wiedziała dlaczego czuła łzy cisnące jej się do oczów.— Tam siedzisz sam jeden, a tu jest przecież twoje ognisko rodzinne.

Jan zmarszczył brwi i stał tak chwilę zamyślony, później wyszedł na moment, aby przynieść fajkę. Odtąd co wieczór wypalał ją w milczeniu, siedząc naprzeciw żony przy kominie i patrzył w płomień palącego się na nim ognia.

Wtedy Mizia patrzyła na niego ukradkiem i znajdowała, że pomimo wszystkiego, mąż jej był bardzo przystojnym człowiekiem. Wysoki i silnie zbudowany, tak że z niego byłoby ze trzech Jakubów Steensonów, miał prawdziwie męzkie rysy, ciemne, mocno zarysowane brwi i takież duże, pełne wyrazu oczy, które strasznie patrzyły, gdy gniew miotał sercem Jana, ale Mizia widziała w nich podczas swej choroby jedynie wyraz łagodności i niewysłowionego współczucia. Ah! gdyby on teraz tak na nią spojrzał! bo czyż to nie było okrutnem, że wobec zbliżającej się śmierci, mąż i żona tak zimno żyli z sobą.

Nadszedł Czerwiec, z nim zakwitły róże i jaśminy, dni jasne, pełne słońca i woni świeżo koszonych łąk, następowały jeden po drugim. Wszystko w naturze śmiało się szczęściem i tchnęło miłością, tylko z ust młodych małżonków nie wyszedł nigdy wyraz przebaczenia i pojednania; wprawdzie oczy, głos i obejście Mizi jasno mówiły o zmianie jej uczuć względem męża, ale Jan nie zdawał się tego spostrzegać i albo wcale na nią nie patrzył, albo obrzucał ją smutnem a zarazem przenikliwem spojrzeniem.

Nie chciał tego bynajmniej zrozumiéć, iż rzeczy się zmieniły. O ile mógł unikał towarzystwa żony i choć mniej chmurny jak dawniej, zawsze był milczący i zamknięty w sobie.

— To już śmierć kładzie na nim swe piętno — mówiła Mizia z westchnieniem.

Gruchanie turkawek w poblizkim lesie, brzęczenie pszczół koło kwiatków, wszystkie te rozkoszne szmery, które stanowią życie w naturze, tęsknotą i dziwnym niepokojem napełniały serce młodej kobiety.

Pewnego pięknego dnia nad wieczorem, Mizia stała we drzwiach swego obszernego domu, przyglądając się uważnie jaskółkom, które coraz z nowym łupem wracały do gniazd swoich, aby nim nakarmić zgłodniałe pisklęta. W poblizkiej rzeczce pławiły się krowy, a zadowolenie widniało w spokojnych ich oczach, gdyż po skwarnym dniu letnim miłą im była ta orzeźwiająca kąpiel; tysiące muszek i innych owadów goniło się w spokojnem, aromatycznem powietrzu. W tej chwili przechodziła żona parobka i wesołem dobry wieczór powitała młodą panią. Była ona zupełnie w wieku Mizi, szła niosąc na ręku z macierzyńską dumą dorodną dziecinę.

Łzy błysnęły w pięknych oczach żony Jana Cosby. Wszystko dokoła wyrażało szczęście i radość serdeczną, ona tylko stała smutna przed drzwiami pięknego domu. Ptaszki wesoło świergotały w gniazdach, każde stworzenie garnęło się do podobnego sobie towarzysza, ta biedna kobieta stokroć była bogatszą od niej; spodziewała się spędzić pracowite życie, dopełniając obowiązków żony i matki, miała cel w życiu, pomimo trosk i ciężkiej pracy uśmiechało ono się do niej. Wśród tego święta miłości w przyrodzie jedna tylko Mizia była smutną. Człowiek, do którego należała unikał jej, *a ona kochała go teraz.*

Łzy jak dwa sznury pereł stoczyły się po gładkiem jej licu, odwróciła się by je obetrzéć i ku wielkiemu swemu zdziwieniu zobaczyła, że Jan stał prawie obok niej.

Musiała być niezmiernie zamyślona, skoro nie dosłyszała jego kroków; Jan patrzył na nią tak smutnym wzrokiem, że serce jej czytając w jego oczach współczucie dla łez młodej kobiety, radośnie zadrgało.

— Biedaczko — rzekł Jan spokojnie — jesteś czegoś zmartwiona. Czy nie mógłbym ci w czem pomódz?

Mizia chciała mu odpowiedziéć, ale słowa więzły jej w gardle.

— Boli mnie to — ciągnął dalej, ciężko westchnąwszy — gdyż czuję, że wielką przykrością jest dla ciebie moja obecność; choć muszę przyznać, że po wyzdrowieniu wydawałaś się zadowoloną z twego losu. Pragnąłbym szczerze widziéć cię szczęśliwą choć *przez ten jeden rok.*

— O, Janie, nie mów tak! To wcale nie *to*, co mi dziś sprawia przykrość.

— A więc co?

— Bynajmniej nie twoja obecność — wyłkała Mizia.

Jan zdziwiony tarł ręką czoło, niemogąc pojąć jaki nowy smutek udręczał młodą jego żonę. Ona zaś szepnęła:

— Tak rzadko jesteś w domu, a mnie samej okropnie smutno.

— Miziu, czyż przed rokiem sama nie mówiłaś *abym cię zostawił w spokoju.*

Młoda kobieta złożyła dłonie i spojrzała w niebo jakby rozpaczała nad niedomyślnością swego męża. Na ustach jej osiadł wyraz smutku i zadziwienia.

— Przed rokiem! Czyż nierozważne słowa wymówione przed rokiem miały już obowiązywać na całe życie! Tak jakby w uczuciach żadna nie mogła zajść zmiana!

— Prawda — rzekł Jan, a ciemne jego oczy tak przenikliwie spojrzały na Mizię, że dziwiła się w duszy jak mogła znieść spokojnie podobne spojrzenie. — Prawda, rok temu przysięgałaś, że kochać mnie będziesz aż do śmierci.

— Tak — odparła Mizia żywo, cała zarumieniona ze wzruszenia z oczami płonącemi jak gwiazdy — a pomimo wszystkiego ty żebyś był trochę poczekał, to przekonałbyś się czybym nie dotrzymała przysięgi.

— To niepodobna! — szepnął Jan chrapliwym głosem, mówiąc sam do siebie.

— A jednak to prawda! — zawołała Mizia gwałtownie. — Byłam nieznośną kapryśnicą, gorzej nawet, byłam bardzo niedobrą kobietą, żem mogła tak postąpić z tobą, jak postąpiłam. Ty pomimo tego dobrym byłeś dla mnie i ocaliłeś mnie od niechybnej śmierci. Ale cóż, kiedy teraz nie kochasz mnie; miłość twa zamarła. A to tem boleśniej do zniesienia, że z pewnością jedno z nas może w tym roku umrzéć.

— To prawda, prawda — rzekł smutno Cosby, rzucając na żonę spojrzenie pełne zdziwienia i nieopisanej tkliwości. Drżąc cały, postąpił ku niej i zrobił giest jakby chciał swem silnem ramieniem otoczyć wiotką jej kibić.

Ale Mizia tego nie widziała. Zakryła twarz fartuszkiem i lekka jak ptaszek pobiegła do swego pokoju na górę. Jan za minutę usłyszał tylko skrzypnięcie klucza w zamku, który pośpiesznie przekręcała jego żona. Znalazłszy się samą, młoda kobieta ukryła płonącą głowę w poduszki i dała folgę gwałtownie cisnącym się łzom.

(*Dokończenie nastąpi.*)

MOJA PIOSENKA.

Płyń po fali piosenko;
Może serce ukoisz,
Może życia czółenko,
W nowe żagle ustroisz.

Śliczne, białe me żagle
Zerwał wicher przelotny;
I ujrzałem się nagle
Na mieliźnie samotny.

Czemu wichrze złośliwy,
Psoty stroisz okrutne?
Byłem, byłem szczęśliwy,
Teraz serce tak smutne!

Lecz nie wątpię za życia,
Że ktoś poda dłoń bratnią;
Wyratuje z rozbicia
Deszczkę szczęścia ostatnią.

Zepchnie wiotkie czółenko
Z tej mielizny piaszczystej,
I popłynę z piosenką
Hen!... po fali srebrzystej.

Cisza?... Cisza grobowa!...
Wicher ze mnie się śmieje!
Biednaż, biedna ma głowa,
Chyba z bólu szaleje!

Smutno duszy tułaczej:
Ta nie płacze inaczej,
Tylko jękiem boleści,
Co łzy w sobie z krwią mieści.

Eh! do licha te żale,
Narzekania na ludzi!
Wezmę wiosło wytrwale,
To się boleść ostudzi.

Przypnę sobie żagielki:
Moje piosnki kochane;
I już statek niewielki
Pruje fale wiślane.

Płyń rozgłośna piosenko,
Coraz dalej i dalej;
Wiotkie moje czółenko
Łaska Boża ocali.

S. L. Rembiszewski.

FACYENDA ŁEB NA ŁEB.

(SZKIC Z PRZESZŁOŚCI NIEODLEGŁEJ.)

PRZEZ

Aleksandra Półkozica.

(Dalszy ciąg.)

Tak, ale pomimo to możeby byli i dobili targu, bo referendarz a raczej ona sama, potrzebowała tych pieniędzy pilno. Lecz zdarzenie

mieć chciało, żem o tym interesie wspomniał był mojemu stryjowi, temu, co to...

— Wiem! wiem! Pan Kazimierz! Tęgi myśliwy i sprytny szlachcic, choć w kapocie chadza. Czy prawda, że on ma grosze? Ludzie mówili mi nieraz że ten stryjaszek, wyszypła ci z czasem z parę garncy rubelków zapleśniałych... które trzyma zakopane gdzieś w kącie..

— I prawdę mówili. Tylko, że jak się pokazało, stryjaszek miał więcej rubelków i w ziemię ich nie zakopywał. Handlował pocichu, na spółkę z drugim jeszcze szlachcicem z Zawad, Korczykowskim...

— Aha! z tym co to opasy i skopy w całym powiecie skupował, a i okowitę także?...

— Z tym samym. Więc tedy gdym mu powiedział o tym interesie i wyrzekałem, że przez to będę musiał ustąpić z dzierżawy dość korzystnej dla mnie, stryjaszek zamyślił się, poskrobał po głowie według zwyczaju, a nazajutrz przywiózł mi całe dwanaście tysięcy rubli w różnych walorach i radził, ażebym na uczciwszych niż żydzi lecz korzystnych dla siebie warunkach, wziął folwark od referendarza.

— Patrzcie no! Więc ci darował taką piękną sumkę!

— Niezupełnie. Powiedział bowiem, że jakkolwiek kiedyś, po jego śmierci, fundusz ten przejdzie na moją własność, wszelako nim to nastąpi, on nie chcąc być na łasce niczyjej, waruje sobie ażebym mu za te pieniądze sprzedał Bałki, w których też stryjaszek już osiadł, od dwóch tygodni prawie.

— A to ślicznie! No, widzę mój chłopcze, że nie żartem garniesz się do chleba... A jakże z referendarzem?

— Dopłacam panu Radobryńskiemu po 700 rubli rocznie. Lecz widzę, że gdybym tak mu dodał jeszcze z ośm tysięcy, toby może i całkiem sprzedał mi Dzięcioły.

— Ale takich tysiąców nie masz, a i stryjaszek pewnie wyszypłał się już do nitki? Szkoda, że i ja także dopomódz ci nie mogę — wyrzekł pan Roch którego w tej chwili zatrwożyła myśl, iż być może, młody ex-sąsiad liczy na jego kredyt w tej potrzebie.

— Oh! Nie przyjąłbym od szanownego pana ani grosika! — zawołał Jan żywo. — Mam nadzieję, że niebawem, potrafię się dźwignąć o własnych siłach, tembardziej, że stryj Kazimierz ma wciąż jakąś tajemniczą minę a i spółki też z Korczykowskim nie zerwał, pomimo udzielonej mi pożyczki

— Tem lepiej! Tem lepiej — rzekł pan Roch uspokojony. — Ale powiedz mi — dodał ciekawie — na co referendarz tak gwałtownie i tak sporo potrzebował pieniędzy?

— Na posag dla córki, którą przed kilku dniami wydał za mąż właśnie.

— Co! zaledwie tam osiadł, już znalazł zięcia! Kogóż przecie?

— Pana Kajetana Mokobadzkiego z Kobylina.

— Ależ to bankrut i lampart niepoprawny!

— To prawda. Lecz świeżo przybyli w naszą okolicę referendarzostwo, nie wiedzieli zapewne o takiej reputacyi pana Kajetana. Zresztą kawaler począł sobie zręcznie w tym razie... On pierwszy z całej młodzieży okolicznej, zaczął bywać w domu państwa Radobryńskich, zamówiwszy się tam o kupno jakichś sążni z lasu. A że to bywalec i człowiek mówny, podobał się i rodzicom i pannie, która choć nieładna lecz posażna za to.

— Przecież nie jedynaczka! bo referendarz ma syna.

— Ba! I jakiego jeszcze! — zawołał Jan śmiejąc się głośno.—Pełno go wszędzie, gdzie tylko zabawić się lub pohulać można. Za to przy gospodarstwie do pomocy ojca, nie pokaże się nawet!

— A referendarz, cóż na to?

— O! Pan Radobryński sam pilnuje gospodarstwa czujnie! Z początku, zajmował się gorliwie własnorecznem malowaniem sztachet farbami olejnemi, sprowadzonemi z Warszawy. Potem, gdy nastały żniwa, zgadnij pan co robił?

— No, ciekawym?

— Oto, nie mogąc pojąć jakim sposobem zboże w mendlach, może stać na polu bez żadnego dozoru, przez całą noc cała służba folwarczna, pilnowała pszenicy na tej paśni po za stodołą.

— Cha! cha! cha! Co ty pleciesz waryacie!

. . . .

Pan Roch zatrzymał u siebie młodego gościa tak długo, aż wreszcie „jego panie” stały się widzialnemi. Wtedy dopiero wprowadził go do apartamentu paradnego na pierwszem piętrze z balkonem.

Biedny Jan! Z sercem bijącem radością i przepełnionem nadzieją, wszedł do tego raju, w którym przebywał jego anioł uroczy. Wszedł, zobaczył anioła i... rozczarował się srodze!

Wprawdzie, na samym wstępie obiedwie panny Bujalskie przyjęły go bardzo serdecznie, klaszcząc w rączki jak dzieci, a nawet i sama pani Agata raczyła nader uprzejmie powitać dawnego sąsiada, rozpytując go o nowiny ze znanej sobie okolicy i jeszcze, zapewne przez wzgląd na przywiezioną zwierzynę, zaprosiła na obiadek... familijny. Lecz miłe to obejście całej rodziny zmieniło się zupełnie, skoro tylko, później już, w salonie pojawili się jacyś niby dystyngowani goście z modnego świata.

Prezentując im Jana, pani Bujalska zatytułowała go swoim dawnym dzierżawcą... i to z pewnym naciskiem, jakby tłomaczącym, że z tego jedynie tytułu człowieczek tak skromny, mógł być przyjęty w jej domu.

I obiedwie panny ostygły także w ślad za matką. Nawet Rózia z początku uradowana szczerze widokiem młodzieńca, któremu niedawno jeszcze, wobec ojca, wyznała swoje uczucia, teraz gdy w salonie pojawili się dwaj nader szykowni dandysi miejscy, zaczęła unikać go prawie.

Biedna Rózia! I na jej szczere, czyste serduszko padła już pewnie warstwa tego miazmatu miejskiego, który odbiera pierwotną świeżość, nietylko owocom i kwiatom lecz myślom i uczuciom także...

Wprawdzie, w głębi tego szesnastoletniego serca przechowało się dotąd uczucie tkliwe dla Jana lecz... on sam wydał się jej teraz, w porównaniu do owych szykownych dandysów, bardzo pokornym i jakby nic nieznaczącym człowiekiem.

Bolało ją to, że matka traktowała Jana z wysoka, że obadwaj galanci miejscy szydzili sobie widocznie z młodego wieśniaka, który miał ubiór nie nazbyt modny i zmięty nieco... który nie nosił binokli ani sztywnych jak stal kołnierzyków, ani o zgrozo! nawet rękawiczek na rękach opalonych srodze! Bolało ją to i... jakby poniżało nawet. Czuła jakąś urazę, jakiś żal do Jana za to, że się naraził na drwiny; że je znosił cierpliwie, że tak potulnie wyglądał w tem otoczeniu modnem.

To też po herbacie, podczas trwania której, pani Agata, ze względu na obecność dwóch dandysów, przemawiała do Jana w trzeciej osobie... prosząc go: „niech je”, pytając: „czy mu smakuje?” gdy rozdrażniony do żywego młody człowiek chciał sobie wynagrodzić wszystkie doznane poniżenia, korzystając z chwili w której Rózia wyszła na balkon zbliżył się ku niej a ogarnąwszy postać ukochanej spojrzeniem pełnem miłości, ozwał się cicho:

— Droga Róziu! jakże ja kocham ciebie!

Młoda dziewczyna pod wpływem żalu, przekory i bezsilnego gniewu, obraziła się jakby taką poufałością młodzieńca i zamiast odpowiedzieć na te namiętne wyrazy, choćby spojrzeniem tylko... roześmiała się głośno i rzekłszy:

— Jaki pan śmieszny w Warszawie, panie Jasiu! — pobiegła szybko w głąb' salonu, gdzie zaraz też zaczęła wesoło i jakby zalotnie nawet szczebiotać po francuzku z jednym z dwóch dandysów, którzy tak jawnie szydzili z wybranego jej sercem człowieka!

Jan uczuł, że mu krew wszystka zbiegła do serca. Obrażony głęboko i blady z boleści, wziął swój pomięty kapelusz i zbliżywszy się do pani Agaty rzekł:

— Pozwoli szanowna pani, że ośmielę się pożegnać ją w tej chwili.

— Jakto? Pan Bałkowski już odjeżdża z Warszawy? — zawołała z przesadzonem zdziwieniem pani Agata. — A, mój Boże! Jam myślała, że mi pan jeszcze coś powie z waszych nowinek powiatowych... szkoda!

— Cóż ci się tak śpieszy? kochany panie Janie — ozwał się pan Roch także, który sam jeden tylko okazywał dawnemu sąsiadowi jednakie zawsze współczucie i z przykrością dostrzegł lekceważące traktowanie go przez żonę i przez dwóch młodzików modnych.

Rózia zmieszała się nieco i odwróciła ku siostrze.

— A! Niech pan Bałkowski nie odjeżdża dzisiaj? — zawołał z komicznym żalem, młodszy z dwóch dandysów. — Zaledwie miałem honor poznać jego osobę a już utracić ją muszę... *Quelle dommage!*

— O! niech pan Bałkowski „dobrodziej” zostanie dziś z nami! — dodał natychmiast starszy, łamaną nieco polszczyzną. — Pójdziemy sobie razem na jakie widowisko... Zaprowadzę pana...

Usłyszawszy te urągliwe z dwóch ust z kolei, wyrzeczone szyderstwa, Rózia uczuła ból w sercu, a spojrzenie jej ogniste, pałające gniewem, żalem i... wyrzutem niemym, jak błyskawica padło na oczy wyszydzonego wieśniaka.

Pod wpływem tego spojrzenia, gwałtowny rumieniec zapłonął na twarzy i na czole Jana a usta jego konwulsyjnie drgnęły.

Widocznie jednak zdołał pohamować w sobie jakiś popęd rozpaczliwy, gdyż po chwilowej pauzie, odetchnąwszy ciężko, rzekł zimno kłaniając się pani Agacie:

— Szczęśliwy jestem, że szanowna pani okazujesz mi tyle dobroci, ale korzystać z niej, na teraz, nie mogę. — Potem skłonił się, również chłodno obydwom siostrom a uścisnąwszy rękę pana Rocha, zwrócił się wreszcie ku dwom uśmiechniętym dandysom i rzekł:

— I panom także dziękuję za okazaną mi uprzejmość, a chcąc zapamiętać nazwiska ludzi tak dystyngowanych... pragnę je poznać, tem bardziej, że szanowna gospodyni domu, przedstawiając mnie panom, zapomniała wymienić, komu mi

a

nowicie miałem zaszczyt być przedstawionym w ten sposób...

— O! na to jest sposób krótki! — zawołał uśmiechając się szydersko młodszy z zagadnionych i dobywszy elegancki pugilaresik, *ad hoc* do biletów wizytowych służący, podał swą kartę Janowi.

Za jego przykładem poszedł i starszy towarzysz, uśmiechając się także.

. . . .

Wyszedłszy na ulicę, Jan zatrzymał się przez chwilę i stał chmurny, z zaciśniętemi ustami.

Widocznie rozmyślał nad czemś lub coś przypominał sobie.

Wreszcie, twarz jego rozjaśniła się nieco. Wsiadł w stojącą nieopodal dorożkę i zawołał:

— Do biura adresowego!

* * *

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA PARYZKA.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

(Dalszy ciąg.)

Słynna artystka dramatyczna Ristori, znana przed ćwierć wiekiem i podziwiana w Warszawie, dziś usunąwszy się z widowni, wydała w Turynie wspomnienia z artystycznego zawodu swego.

Dzieło to nakreślone z powagą i prostotą, w pięknem świetle daje poznać autorkę. Widzimy jak głęboko pani Ristori pojmowała sztukę, z jaką rozwagą wybierała role odpowiednie psychicznemu usposobieniu swemu. Oto na dowód rozmowa jej z francuzkim pisarzem dramatycznym Legouve:

— Dlaczego pani niechcesz grać mojej Medei? — zapytał ją autor dramatu.

— Drogi panie — odrzecze — dla bardzo ważnej przyczyny. Kocham wogólności drobną dziatwę. Będąc jeszcze małą dziewczynką, ilekroć spostrzegłam dzieciątko na ręku piastunki, zatrzymywałam się, całowałam je z uniesieniem. Ztąd łatwo pan zrozumie jakie mam uczucie dla własnych dzieci. Włoskie teatra przedstawiają też Medeę; aktorki nasze z wielkiem powodzeniem wywiązują się z tej roli. Otóż ja nie mogłam się przekonać, nigdy tej sztuki nie widziałam.

— Ależ moja Medea, zabija dzieci po za sceną— przerwał Legouve — publiczność nie ma przed oczami widoku macierzyńskiej zbrodni!

— Przebacz mi pan — odrzecze Ristori — ale nie mogę zrozumiéć, aby uczucie grozy, jakie budzi w tej chwili aktorka, nie miała źle usposobić dla niej publiczności.

Legouve zdołał w końcu przełamać ten opór; artystka po mistrzowsku odegrała Rolę Medei, wiele ją to jednak kosztowało.

Ristori przybyła po raz pierwszy do Paryża w roku 1855, było to właśnie kiedy kosmopolityzm powiał silnie na literaturę francuzką, zamkniętą do owych czasów w najściślejszym obrębie narodowości. Wtedy to Teofil Gautier zagorzały nowator wystąpił śmiało na rzecz objawiającego się kierunku. „Kosmopolityzm, rzekł on, stanowczo ogarnął już teatr; wczoraj Włochy, dziś Hiszpania, jutro Anglia, wkrótce zapewne Niemcy. Obce nam cywilizacye, nie dość że przysyłają na wielkie konkursa swe materyalne płody, ale przynoszą też idee swoje. Ród ludzki musi koniecznie zyskać na tem oddziaływaniu jednego narodu na drugi: witajmy radzi Alfierego, witajmy Szekspira, witajmy Kalderona, witajmy Getego!"

Popęd ten rozwija się odtąd bezustannie; wyradza on cierpkie owoce; wiadomo jak Lepardizm wiejący z po za Alp, Szopenhaueryzm z po za Renu, a obok tych inne jeszcze szkodliwsze prądy, wstrząsnęły do gruntu Francyą, przeistoczyły wrodzony jej charakter.

Trudno zapewne odgraniczać się od innych ludów chińskim murem i nie karmić się utworami ich ducha, ale potrzeba niesłychanej baczności w zastosowaniu obcych pobudek i wybieraniu tych tylko, które odpowiadają geniuszowi własnego narodu.

* * *

Przed tygodniem odegrano w teatrze Gymnase komedyą przerobioną z powieści Halewego: *Ksiądz Konstanty.* Piękna ta powieść, znana dobrze czytelnikom Tygodnika, nie będziemy więc powtarzać jej treści; powiemy tylko, że publiczność paryzka przyjęła ją z najżywszym zapałem. Wszystkie miejsca w teatrze zamówione już na pięć tygodni naprzód.

Wymowne to świadectwo, jak publiczność tutejsza spragniona sztuki uczciwej, po tylu bezecnych utworach, jakiemi karmiono ją do syta, a w których autorowie wzięli sobie za cel odkrywać rany toczące społeczeństwo.

Powieść Halewego rozbiegła się w stu pięćdziesięciu wydaniach, to jest w liczbie 150,000 egzemplarzy. Krytycy wróżą, iż piękna sztuka, doczeka się kilkuset przedstawień.

* * *

Pisaliśmy niedawno o posągu Wolności, dłuta Bartoldego, wzniesionym na wyspie koło przystani nowojorskiej. Otóż owa olbrzymia wolność jeśli z jednej strony, roztacza światło elektryczne na szerokie fale oceanu i zabezpiecza parowce od rozbicia, to z drugiej strony, okazała się zabójczą dla biednych ptaków wędrownych.

Codziennie na galeryi otaczającej latarnię morską, zbierają do piętnastu tysięcy ubitego ptastwa rozmaitego rodzaju: łabędzi białych i czarnych, dzikich gęsi i kaczek, skowronków, słomek i t. p. Znęcone blaskiem światła, biedne ptaki przylatują z wielkiej odległości, rozbijają głowy i łamią skrzydła o grube szkło latarni.

Nie spodziewał się Bartoldi, że jego Wolność, takie w rodzie ptaszym uczyni spustoszenie!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KATARZYNA LEVALLIER.

PRZEZ

Edwarda Delpit,

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Lucyan długą chwilę popatrzał na panią Levallier, poczem wysunął się z salonu, po angielsku, bez pożegnania. Widocznie lękał się aby mu nie zbrakło odwagi.

Rozmowa powyższa jakkolwiek krótka nie uszła baczności pani Maleyra.

— Poczciwe dzieci, pomyślała sobie, starają się zapanować nad swojemi uczuciami. Da Bóg wyleczą się wkrótce z tej nieszczęsnej miłości. Poczciwy Maksym nie dowie się nigdy o niczem a Kasia zapomni też wkrótce o swojem szaleństwie.

Doszedłszy do tego przekonania pani Maleyra odetchnęła swobodniej.

— No, dobranoc moje dzieci, upadam ze znużenia — odezwała się głośno.

Przed odejściem wzięła córkę na stronę.

— Słuchaj no — rzekła — musisz mi obiecać, że unikać będziesz wszelkiego sam na sam z Lucyanem. Pamiętaj, że bojaźń Boża to początek mądrości.

Chciała jeszcze dodać coś więcej, lecz Kasia przerwała jej mowę:

— Lucyan wyjechał, mamo—wyrzekła zwolna.

— To bardzo rozsądnie z jego strony, chociaż zdaje mi się, że jak prędko wyjechał tak jeszcze prędzej wróci. A ponieważ ja nie mogę ciągle być z tobą...

— Lucyan pojechał aż do Mentony.

— Raz jeszcze powtarzam, że postąpił szlachetnie.

— Bardzo szlachetnie, mamo.

— Dobry, poczciwy z niego chłopak...

— O! tak, to wzniosły, nieoceniony charakter — szepnęła Katarzyna z głębokiem wzruszeniem.

— Kto inny na jego miejscu... — zaczęła pani Maleyra, ale w tejże chwili przerwała, dodając szybko: — co ja też robię chwaląc go tak przed tobą. Widocznie znużenie odbiera mi przytomność umysłu. Dobranoc kochanko, dobranoc...

W dwa tygodnie później Katarzyna odebrała króciutki bilecik następującej treści:

„Pozwól mi powrócić. Bez ciebie, życie staje się dla mnie nieznośną męczarnią."

Młoda kobieta długo wpatrywała się w to pismo, poczem wrzuciła je w płonący na kominku ogień, który je spopielił w oka mgnieniu.

— Nic mu nie odpowiem — powiedziała sobie w duchu.

Chociaż w ogóle twierdzą, że milczenie jest znakiem przyzwolenia, jednak Katarzyny nie można o nic podobnego posądzić. Cały dzień była smutna i rozstrojona, walcząc z wewnętrznym niepokojem.

Maksym wróciwszy z fabryki nie zastał jej w salonie.

Natomiast spostrzegł Genowefę siedzącą samotnie w kąciku. Młoda dziewczyna tak była zamyślona, że nie usłyszała wcale szelestu jego kroków. Przystąpiwszy bliżej pan Levallier ujrzał, że twarz jej zalaną była łzami.

Widok ten bardzo przykre wywarł na nim wrażenie, kochał bowiem serdecznie siostrę.

Jaki może mieć Genowefa powód do zmartwienia? zapytał się w duchu i siadając koło niej otoczył ramieniem jej kibić.

— Co ci jest, siostrzyczko? — rzekł czule.

— Nic, nic! — zawołała z przestrachem.

— Jeszcze tego brakowało, abyś się mnie lękała Genowefo. Widzę, że cie przestraszyłem...

— Wszedłeś tak niespodziewanie... nie słyszałam cię wcale... zdawało mi się, że jestem sama... nic więc dziwnego, że się trochę przestraszyłam ale upewniam cię Maksymie, że nic mi nie jest...

— A dlaczegóż płaczesz? Nikt nie płacze dla przyjemności lub zabicia czasu.

— Czyż można zgadnąć co nieraz bywa powodem łez i niepojętego smutku?

— Dawniej odpowiadałaś mi zawsze szczerze — przerwał jej Maksym — teraz zmieniłaś się do niepoznania. Twarz twoja ciągły wyraża smutek; otwórz przedemną serce, siostrzyczko, opowiedz mi swoje zmartwienia... Czyż nie zastępuję ci ojca i matki? Czyż nie jestem serdecznie kochającym cię bratem?...

— Jesteś zawsze najlepszym, najukochańszym moim braciszkiem — odparła z uczuciem.

— Czy nie ufasz już memu przywiązaniu, Genowefo?

— Jak możesz to mówić, braciszku? — rzekła z wyrzutem, zarzucając mu ręce na szyję. — Kocham cię jeszcze mocniej, jeszcze serdeczniej niż wtedy, gdy będąc dziecięciem, instynktem garnęłam się do ciebie, nierozumiejąc całej doniosłości twego przywiązania.

O! w istocie, kochała go teraz bardziej jeszcze, gdy już tyle łez wylała z obawy o jego szczęście!...

— Maksymie — odezwała się po krótkiej chwili milczenia, nie wątpisz chyba, że szczerze cię kocham.

— A więc daj mi dowód twej miłości i powiedz co ci jest? dlaczego cierpisz?

— Alboż ja wiem, Maksymie. Czasami ogarnia mnie jakieś niepojęte i niczem nieusprawiedliwione rozdrażnienie nerwowe. Wspomnienie rodziców, śpiących snem wiecznym pod darniową mogiłą, przejmuje moje serce głębokim smutkiem. Ale to rzecz zwyczajna, nie masz się czem niepokoić braciszku.

Im więcej nalegała, tem większy niepokój ogarniał Maksyma. Wiedział, że Genowefa nie jest tak dziecinną, aby miała płakać byle czego.

Po chwili więc odezwał się znowu:

— Dziecko drogie, życie zaledwie otwiera się przed tobą, powinnaś je witać uśmiechem nie łzami. A jeżeli wspomnienie matki, której wcale nie pamiętasz rozdrażnia cię tak dalece, widać że potrzebujesz przed kimś otworzyć swoje serce a mnie już nie ufasz.

Jeszcze Genowefa nie zdążyła odpowiedzieć, gdy dał się słyszeć lekki szelest i Katarzyna ukazała się we drzwiach.

— Chodź mi w pomoc, najdroższa! — rzekł Maksym. — Od pewnego czasu Genowefa mnie niepokoi, staraj się ją wybadać... Może we dwoje łatwiej dowiemy się prawdy.

— Cóż jej jest? — spytała pani Levallier. — Ja nic nadzwyczajnego nie dostrzegłam w jej postępowaniu. Chodźno tu do mnie bliżej, Genowefo...

— A widzisz, że powiedziałam prawdę — rzekła młoda dziewczyna, zwracając się z wymuszonym uśmiechem do brata.

— Widzę, że Katarzyna nie grzeszy zbytkiem przenikliwości — przerwał Maksym trochę niecierpliwie.

W istocie młoda kobieta zanadto w tym czasie była sobą zajęta, ażeby mogła myśleć o drugich. W duszy też przyznała słuszność Maksymowi, gdyż pobladła twarz Genowefy była dla niej aż nadto bolesnym wyrzutem.

— Odejdź i zostaw nas same — rzekła do męża. — Wy mężczyzni nie znacie się na takich rzeczach. My, mężatki prędzej się czegoś dowiemy, bo każda z nas przechodziła to samo i zna dobrze owe nieokreślone marzenia i bezcelowe smutki trapiące wszystkie młode dziewczęta.

I przyciągając Genowefę do siebie posadziła ją sobie na kolanach; poczem objąwszy ją ramionami zaczęła tulić pieszczotliwie i kołysać jak małe dziecię.

— Wyspowiadam ja panienkę — rzekła — przedemną musi wyznać prawdę.

A widząc, że Maksym nie śpieszy się odejść, zawołała niecierpliwie:

— Proszę cię, Maksymie, zostaw nas same.

Pan Levallier odstąpił kilka kroków kierując się w przeciwległy koniec salonu.

— Tu już nie będę im przeszkadzał — rzekł sobie w duchu siadając przy małym stoliczku na którym leżały rozrzucone książki. Machinalnie wziął książkę, do ręki lecz zamiast czytać spoglądał raz po raz na kanapkę gdzie siedziała żona i siostra.

Zmrok już zapadał a przy niepewnych blaskach zachodzącego słońca, którego gasnące promienie wdzierały się przez wysokie okna, dwie młode kobiety złączone serdecznym uściskiem śliczny tworzyły obrazek. Jasnowłosa główka dziewczęcia świeciła jak roztopione złoto obok kruczych warkoczy Katarzyny.

Przytulone do siebie szeptały cichutko nie myśląc już wcale o obecności Maksyma. Niekiedy zwierzenia przerywał stłumiony odgłos pocałunku.

Maksym patrzał i napatrzyć się nie mógł; ogarnęło go jakieś słodkie i rozkoszne zarazem wzruszenie. W tej chwili ziściły się najgorętsze jego marzenia, pragnąłby był zawsze widzieć żonę i siostrę takiem zjednoczone uczuciem.

— Mocniejsza powinna opiekować się słabszą — myślał — jakże byłbym szczęśliwy, gdyby Kasia choć tak młoda chciała więcej macierzyńskiej okazywać jej czułości.

Katarzyna mówiąc ożywiała się stopniowo i słowa wymawiane z pieszczotliwym wdziękiem wyraźniej teraz dochodziły do uszu Maksyma.

— Przedemną nie ukryjesz żadnej tajemnicy, siostrzyczko — mówiła. — Możesz być spokojną, ja nic nie powiem nikomu, nawet Maksymowi jeżeli ci o to idzie.

— Mnie głównie o to chodzi, abyś mnie zawsze jednakowo kochała — szepnęła Genowefa wzruszona jej czułością.

— A zkądże ci przyszło do głowy, żebym ja cię mniej kiedy kochać mogła? — spytała z nieudanem zdziwieniem Katarzyna.

Genowefa za całą odpowiedź podniosła na nią wzrok przyćmiony łzami z takim wyrazem bólu i prośby, że młoda kobieta zadrżała strwożona.

Przypuszczenie, że Genowefa domyśla się jej tajemnicy, wstrząsnęło nią do głębi duszy.

— Maksym miał słuszność — powiedziała sobie w duchu — ona cierpi i płacze nie bez powodu. Powodem tym ja jestem, lecz dlaczego ona to tak żywo bierze do serca? Co ja jej zawiniłam? Nie rozumiem doprawdy, wszak zawsze okazuję jej macierzyńską niemal troskliwość, gdyż serdecznie kocham to dziewczę.

— Słuchaj kochanko — zaczęła głośno — z twoich słów wnoszę, że to ja raczej nie ty usprawiedliwić się powinnam. Ależ ja bynajmniej nie jestem od tego i jeżelim cię mimowolnie obraziła lub zmartwiła, powiedz mi lepiej otwarcie. Upewniam cię, że nie zrobiłam tego rozmyślnie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEATR.

Farbowane lisy, komedya w 3-ch aktach Feliksa Jezierskiego. Występ pana Mieczysława Frenkla w „Rozbitkach” Blizińskiego.

Dyabeł paląc w starym piecu nie żałuje zwykle drewek, podtatusiali więc kawalerowie, gdy zapragną zrobić głupstwo ożeniwszy się, to robią już je kompletnie przez pojęcie za małżonkę nie poważnej latami niewiasty, lecz młodziutkiej panienki. To samo chciał uczynić prezes nie wiem jakiej już instytucyi, powziąwszy zamiar połączyć swe losy z losami prześlicznej Janiny córki obywatela ziemskiego Ostatkiewicza. Szlachcic był bankrutem, konkurent milionerem, córka gotową do spełnienia ofiary, nic zatem dziwnego, iż podobnie anormalny związek pozyskał prawo bytu. Wtedy deputatowa, sędzina i bawiący się lichwą marszałek, farbowane lisy, intrygują celem złowienia bogatego zięcia dla własnych swych córek. Pan Prezes choć szwankujący cokolwiek na zdrowiu, nie słucha nikogo i niefortunne połączenie szronów kawalerskiej jesieni z wdziękiem dziewiczej wiosny, doszłoby zapewne do skutku, gdyby subretka panienki nie otworzyła, w przypadkowej pogawędce, oczów oszołomionemu staruszkowi na następstwa, jakie tyle nieproporcyonalne połączenie dwóch krańców człowieczego istnienia wywołać może. Epizod ów przypominający w grubych zarysach rozmowę starego Grzegorza z Majorem w „Damach i huzarach” Fredry, jakoteż scena marszałka z żydem Gilbersteinem, ożywiają cokolwiek akcyę wlokącą się leniwo, bezbarwnie, nieruchliwie. Niezwykła wprawdzie krótkość aktów trwających po kilkanaście minut zaledwie, umniejsza widzom nudów, zawsze jednak środek to niekoniecznie dobry do zdobycia sympatyi publiczności. Głównym efektem wspomnionej komedyi, jest zdjęcie w danej chwili przez Prezesa peruki ze swej głowy i wrażenia jakie jego potężna łysina wywiera na obecnych. Po tym pełnym abnegacyi czynie, zwrócony na drogę rozsądku amator nierozkwitłych kwiatków, oddaje rękę narzeczonej swemu synowcowi, a sam popłaciwszy długi niedoszłego teścia postanawia pić rumianek, używać flanelowych kaftaników i dać za wygranę zapałom miłosnem. Koniec końcem przysłowie o dyable i starym piecu

nie zostało zastosowanem w praktycznem użyciu, szczupłe gronko publiczności zachowało się milcząco, a obecni na sali starzy kawalerowie westchnęli ścicha skonfudowani lekcyą więcej pedagogiczną niż zajmującą jaką im dał autor, który pomimo swego chrzestnego imienia nie był tym razem bynajmniej szczęśliwym w pomyśle, ani też w obrobieniu.

Poczciwostka ta o szablonowych charakterach wchodzących w jej skład osób, chromająca w akcyi słaba w intrydze, nieudolna w układzie scenicznym, wykonaną była dość miernie. Jedni napróżno silili się, ażeby wydobyć jaką iskierkę dowcipu z niezapalnego materyału, drudzy zaś otrzymawszy nieodpowiednie role trafili na trudne do pokonania przeszkody. Do tych ostatnich należał, odtwarzający zawsze z niepospolitym talentem postacie ludowe, artysta pan Galasiewicz. Jego Marszałek ani ruchem, ani gestem, ani intonacyą mowy nawet nie przypominał osobistości, która bądź co bądź powinna posiadać choćby jakie takie obycie salonowe i formy towarzyskie.

* * *

Pan Mieczysław Frenkiel artysta teatru lwowskiego, przedstawił w wybornej komedyi Blizińskiego: „Rozbitki" znaną nam od lat kilku osobistość Dziendzierzyńskiego. Zwolennicy starej szkoły twierdzą, że perspektywa teatralna wymaga koniecznie od aktora silniejszego akcentowania wybitniejszych szczegółów i uplastycznienia kulminacyjnych punktów sztuki, innemi są bowiem warunki rzeczywistego życia aniżeli ułuda fikcyi, gdzie prostota staje się nużącą, naturalność bezbarwną, a miękkie zarysy nieokreślonemi konturami. Otóż i tacy nawet ujrzawszy grę pana Frenkla, musieli przyznać, że każda szkoła jest dobrą, gdy ma za przedstawiciela tak znakomitego jak on artystę. Pan Frenkiel nie szuka efektów w podkreślaniu wyrazów, podnoszeniu głosu, wyostrzaniu sytuacyi, lecz daje nam postać realną, typ żywcem ze społeczeństwa ludzkiego wyjęty. Ażeby tym sposobem grając nie popaść w monotonność, potrzeba oprócz wrodzonego talentu, olbrzymiej pracy i systematycznego wyrobienia się, o ile bowiem akcentowanie ról graniczy z szarżą, o tyle znowu umiarkowanie w dykcyi, ruchach i charakterystyce może wywołać znużenie u widzów. Lwowski gość wyrugowawszy naturalną interpretacyą ze sceny aktora, strzegąc się przesady, schlebiania galeryi i niepotrzebnych zaznaczeń, zdobył dla siebie uznanie lubowników nowej metody i zarazem zwyciężył uprzedzenia miłujących starą szkołę spektatorów.

Wszystkie dłonie złączyły się do oklasków, z wszystkich ust wybiegł okrzyk zadowolenia: nie było tam dwóch partyi, lecz tylko jedno stronnictwo pragnące uczcić wybitny i rzeczywisty talent. Z tem samem powodzeniem p. Frenkiel wystąpił jeszcze dwa razy, a chociaż w sztukach już bardzo ogranych, teatr zawsze szczelnie był napełniony.

Ludwik Niemojowski.

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Przysłowie nasze powiada: Święta Katarzyna śmiechem a Ś-ty Andrzej grzechem, gdyż w dzień Ś-tej Katarzyny bawić się jeszcze wolno a od Ś-go Andrzeja już adwent się zaczyna, taneczna więc muzyka milknie. Powiada także przysłowie, że od Ś-go Andrzeja trza kożucha dobrodzieja i że na Ś-go Andrzeja, dziewuszkom z wróżby nadzieja.

Co do kożucha, ten już wszedł w użycie choć zima nie sroga, nosów nie mrozi ani uszów, choć jedenastu jeszcze ochotników używa kąpieli wiślanych a w parku w Łazienkach kilka kasztanów pokryło się kwiatem. Co zaś do wróżb te wyciągać z lania wosku lub ołowiu w wigilię Ś-go Andrzeja nie zaniedbano.

Rozpisują się o tem wszystkie kuryery a dowcipny kronikarz *Dziennika dla Wszystkich* powiada:

W dniu wtorkowym na wosk, ołów,
Poszły ruble i kopiejki...
Ha, cóż robić w obyczaju
Naszym dawno są „Andrzejki"...

Więc też wszystkie białogłowy,
Co w panieńskim trwają stanie,
W dniu wtorkowym, późną nocą
Wyprawiały sobie... lanie...

Jakoś dziwnie tak się jednak
W dzień Andrzeja to złożyło,
Że i między... mężczyznami
Także tęgie *lanie* było...

Ktoś zaczepił cudzą żonę,
Wtem mąż krzyknął: — Donżuanie!
Kij do góry ręką podniósł,
No, i młodzian dostał... lanie!...

Pan majsterek na Andrzeja,
Pił od rana trunki tanie,
Ale w domu od majstrowej,
Za te *tronki* dostał... lanie!

Na bilardzie dwóch się zgrywa,
Aż tu naraz w jednej chwili
Krzyk: tyś oszust!... no i wzajem...
Lanie... sobie wyprawili...

No, i prasa przecież także,
Za tradycyą nie zostanie,
W polemicznym więc zapale
Ktoś tam komuś sprawił... lanie...

Ha! obyczaj, więc cóż robić,
Trza szanować go, jak wiecie,
Że więc *lania* było wiele,
To już... Andrzej winien przecie!...

Kto winien owym *laniom*, oto mniejsza, wiemy tylko, że ich kilka spadło z katedry dziennikarskiej na prozo i wierszo... kletów, których zrąbano na kwaśne jabłko, jednej w nich kostki zdrowej niepozostawiając.

Najprzód więc rąbnięto panią Gabryelę Śnieżko Zapolską, która pragnąc iść w ślady francuzkiego pisarza Zoli, raz w zawziętej walce z krytykami zawołała zuchwale: uznajcie przynajmniej, że mam odwagę! Że pani Zapolska miała i ma odwagę babrać się w brudach społecznych, jakby w żywiole perfumą woniejącym, tego jasny dała dowód w powieści p. t. Małaszka i wobecnie wydanej p t. Kaśka Karyatyda. Odwagę zatem pokazała tylko nie okazała ani zdolności, ani talentu Zoli, na którego obraz i podobieństwo chciałaby się przerobić. Słusznie więc pan Stb. sprawił jej *lanie* w Kuryerze Codziennym.

Drugie podobne *lanie* przez tegoż samego sprawozdawcę p. Stb. sprawione, dostał autor wyszłej niedawno książeczki pod której tytułem *Równianka*, jak powiada sprawozdawca, wylała się z kaszt drukarskich cała kaskada uczuć lirycznych. Autorem jej jest p. Ap. Konopasek a najwspanialszym kwiatem tej Równianki jest wiersz *Poeta* książkę rozpoczynający.

Oto pierwszy akord:

I cóż wam ukochani powiem o poecie!
Jest to szalone, biedne stworzenie na świecie,
Koczuje na poddaszu, do nieba mu bliżej!...

Następuje potem apoteoza kilku koczujących a protegowanych przez p. Konopasek synów Apolina, z których najnieszczęśliwszym jest niejaki Ludwik:

Bo krytyka swe pióro w żółci umoczyła
I raz na zawsze jemu pisać zabroniła.
Gdyby się był z nią poznał lub wziął na szampana,
To by tak pewnie była nie ścięła waćpana...

Nie zawsze atoli pomaga wzięcie krytyki na szampana...

Dowodem jest los niejakiej Maryi, która napisała sielankę i została za to ściętą przez własną rodzinę.

Lecz wszyscy z niej szydzili — jedna tylko ciotka,
Ot sobie kobiecina — poczciwa dewotka,
Rzekła do niej: „Ah dziecię, jesteś nagabana,
Nie pisz wierszy, bo są to napaści szatana."

Do czego doprowadzić może napaść szatana, przekonać się można z Równianki.

Autorka — Ap. Konopasek należy bowiem do płci pięknej, w wylewie swych uczuć jest zwykle melancholijną, chociaż czasami hydrze smutku łeb ucina, jak np. w następującej wspaniałej odzie do wesołości:

Smutno mi! o dla Boga! Pani Wesołowska!
Wróć że się dobrodziejko! niech przepadnie troska!
Jak też to z nią wesoło, aż się ściany śmieją,
Zatańczymy trojaka, ja i ty z Nadzieją...

Tańczą tedy „trojaka" p. Ap. Konopasek, p. Wesołowska i Nadzieja, a karnawałowo usposobiona muza w takich razach szepce autorce do łez rozczulającą apologię poety.

Że podobni wierszokleci występują z utworami swemi na widok publiczny narażając się na straszny zawód, to nic dziwnego, gdy ojcowie lub opiekuni sami do tego dopomagają. Ileż to razy przychodzą listy do redakcyi *Przyjaciela Dzieci* z prośbą starszych osób o wydrukowanie lichej, bo inaczej być nie może, ukutej bez ładu i składu rymowanej prozy, lub tłomaczenia nie po polsku napisanego? Jako powód prośby naznaczają chęć zachęty... do czego?

Czy do tego, żeby chłopiec sam w siebie wmówił, że jest literatem i że się już uczyć nie potrzebuje?

Przed dwoma laty pewien ojciec zamożny, wydrukował przetłomaczone przez dwunastoletniego syna bajki Lefontena nb. prozą tak jakąś, że czytać niemiło było.

Figielek ten kosztował go sto rubli, bo wybić kazał tylko 300 egz. dla rozdania ich krewniakom i przyjaciołom... na pamiątkę zapewne swej... nierozwagi.

Obecnie Kuryer Codzienny donosi:

Ośmioletni Kazio *** już od roku jest poetą, gdyż pisuje wiersze.

Ojciec postanowił poezye te wydrukować i wydać w pewnej liczbie egzemplarzy dla rozdania znajomym i przyjaciołom.

Zrobić uwagę tu nam należy, że wykonanie tego zamiaru będzie najpewniejszym środkiem zabicia talentu, jeżeli go mały chłopiec rzeczywiście posiada.

Lepiej zaprządz go do nauki... gramatyki.

W zupełnym zastoju handlowym, jaki obecnie panuje, ludziska różnych szukają sposobów, aby ściągać do siebie kupujących, czego ganić naturalnie niemożna. Jeden ze sklepikarzy przy ulicy Mostowej, do każdego zakupu za 15 kopiejek, dodaje jako premium... pudełko zapałek szwedzkich. Pomysł rzeczywiście oryginalny.

Na ślub, jaki się w tych dniach odbył w Kościańskiem—pisze „Dziennik Poznański"—zamiast telegramu, przesłano na kartce korespondencyjnej następujące powinszowanie:

Życzę szczęścia wciąż stałego,
Zdrowia, miru, pomyślności;
A przez formę listu mego
Przypominam oszczędności.
Niech skarbonka w Imię Boże,
W każdym domu dopomoże
Dobrej sprawie. Przy zabawie,
Imieninach, czy przy chrzcinach,
Przy rachunkach, przy sprawunkach,
Czy to z grosza, czy z talara,
Byle najczęstsza ofiara.

Marya K.

Grono osób, które w swoim czasie powzięło zamiar udzielania pożywienia ptakom podczas zimy, rzecz całą doprowadziło już do skutku.

Opieka ta liczy 18-tu członków z których każdy ma swój rewir.

Jedni obchodzą ogród Saski, drudzy Botaniczny, Łazienki, park na Pradze i t. d.

Każdy opiekun płaci rs. 2 miesięcznie a ze składek kupowane są bułki, zboże, kasza i t. p.

Dodajemy, że do liczby tych filantropów należy również pięć dam, z zamiłowaniem oddających się sprawie żywienia ptaków.

W loży pierwszego piętra chwalono głos pierwszy raz występującej artystki przejezdnej i posiadającej już ustalony rozgłos.

— Jakiż to głos przecudowny! — mówiono.

— To nic — odzywa się pewien bankier — ja ją już lepiej słyszałem. Wczoraj była u mnie na obiedzie i później śpiewała, to było co posłuchać jaki ona ma cudny *prywatny* głos.

* * *

— Przedstawiam pani moją siostrę, której mąż w zeszłym tygodniu umarł.

— Bardzo mi przyjemnie... — i nagle pani X. zamilkła zmieszana.

* * *

Z teki wesołego filozofa. Nie bałamuć nigdy żony innego, chyba gdyby ta miała już innego.

— Zbytecznie wydekoltowana kobieta, pokazuje więcej niż powinna a mniej jak pragnie.

— Gdy rozmawiasz z ukochaną usuń się z nią w najzaciśniejszy jaki kącik, a im ciszej będziecie gadali tem się lepiej zrozumiecie.

— Bez powietrza żyć nie można, ale i z powietrza samego życia nie utrzyma.

— Boli serce patrzyć na wielkie nieszczęście, ale więcej jeszcze na wielkie szczęście. W pierwszym razie cierpi się obecnością, w drugim pewnością, że na świecie nie ma nic trwałego i wszystko jak cień przemija.

* * *

— Jakież ubóstwo w naszych magazynach — mówi pani X. do męża wracając z wycieczki po mieście — to nie masz nawet pojęcia. Wystaw sobie, że obeszłam ich kilkanaście i tylko wjednym magazynie znalazłam dwa kapelusze, które mi się spodobały, jeden za rubli 13 drugi za 30.

— Nic dziwnego — odpowiada mąż — ciężkie czasy na wszystkim piętno swe odbić muszą.

— Tak jest, ciężkie czasy — potwierdza z westchnieniem pani X.

— Nie kupiłaś więc...

— Owszem, kupiłam...

— Zapewne tańszy?

— Chciałam, ale widzisz jestem trochę zabobonną, trzynastka to fatalna cyfra, wzięłam więc ten za rubli trzydzieści.

RÓŻNE MYŚLI.

Zycie skąpca jest komedyą, w której oklaskujemy ostatnią scenę.

Sanial Dubay.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie wizytowe. Wysoki stanik zapięty na wielkie kwadratowe guziki, ma fałdowaną kamizelkę i takież pół długie rękawy. Spódnica rozcięta z boku i zapinana kokardami, draperya skośnie dana z przodu, z lewego boku tworzy krótkie panier.

Ubranie balowe. Blado różowa suknia z materyi jedwabnej w pasy, z długim, fałdzistym trenem ma bryt przedni przykryty bufiastą draperyą a z boku sute przybranie z koronki. Stanik bawetowy zapinany z tyłu. Kokardy morowe.

Ubranie wieczorowe dla młodej panienki. Suknia blado niebieska ma spódnicę układaną w szerokie kontrafałdy, naszytą złotą pletnią. Staniczek krótki bez rękawów, zdobny z przodu haftem złotem; szeroki pasek idący od boczków, zwęża się i krzyżuje na środku. Wykrój szyi dopełniony szmizetką fałdowaną.

NOWE KSIĄŻKI.

Nadesłane do Redakcyi.

Historya Powszechna K. F. Beckera. Zeszyt 87 obejmuje dalszy ciąg Wojny Siedmioletniej. Wydanie H. Olawskiego. Cena zeszytu kop. 10.

Strzecha Rodzinna, kalendarz na rok 1888. Zebrał i wydał Edward Koliński. Wydanie bardzo staranne, zawiera w sobie prócz części kalendarzowej, artykuły: O przemyśle wiejskim, przez Antoszkę. O przysparzaniu dobrobytu dla gospodarzy, przez E. Jankowskiego. O strażach ochotniczych, przez Antoszkę. Słówko o rzeczach sądowych, przez Mławiaka. Poradnik szkolny, oraz wiele jeszcze innych tak poważniejszej, jak i powieściowej treści. Przy tem na samym początku zdobi kalendarz piękna rycina, przedstawiająca kopią obrazu Krudowskiego: Powrót z Golgoty z objaśniającym wierszem Adama Pługa.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyj nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

PRZYJACIEŁA DZIECI

numer 50 wyszedł z druku i zawiera:

Posąg wolności (z drzeworytem).—W lesie (wiersz z drzew.) — Z dawnych wspomnień.—Bąk (z drzeworytem). — Mała książeczka. — Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Dobra panienka i Hajdamaka (z drzew.). — Ogródeczek (wiersz). — Pobyt Olesia na wsi. — Dla Helenki Słupec.... w dzień urodzin (wiersz). — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Ноября 1887 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.



Pl. 709.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.